



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

P A W.

Po większych ogrodach i parkach w kraju naszym, można spotkać jednego z najpiękniejszych ptaków indyjskich, pawia przyswojonego, zwanego po łacinie *Pavo cristatus*. Na głowie ptak ten nosi czub, przypominający kształtem koronę królewską; piersi jego błyszczą piękną szafirową barwą, wpadającą trochę w odcień seledynowy; pióra na skrzydłach ma nieco skromniejsze, popielatawe, ale za to ogon jaśnieje tęczkowymi barwami i zdaje się kapać od złota i drogich kamieni. Upierzenie pawicy jest o wiele skromniejsze. Sto kótek czyli ócz promiennych na ogonie pawia, dawało do myślenia starożytnym ludom Azji środkowej, które też czciły pawia jako ptaka symbolicznego, wszystko wiedzącego. Grecy nadawali mu także wielkie znaczenie, umieszczali go bowiem zawsze na rzeźbach i obrazach u stóp bogini Junony, małżonki Jowisza. Kto czytał, w Wieczeniach rodzinnych, powieść Deotymy o losach branki w jasyrze, wie o przysiędze na pawia, mającej głębokie znaczenie w wiekach średnich.

Wśród zieleni drzew ogrodu, na kobiercu trawy, ptak ten wygląda niby chodzący bukiet kwiatów. Próżny z natury, rad pyszni się swymi barwnymi piórami i gdy tylko spostrzeże, że ktoś zwraca na niego uwagę, natychmiast stara się wdziękliwie swoje ukazać w całym blasku: roztacza wspaniałego ogona i kroczy poważnie. Stąd poszło, że gdy między ludźmi zdarzy się ktoś próżny, lubiący stroić się w szaty jaskrawe, lub popisować powierzchownością, mówią o nim „że się pyszni jak paw.”

Pióra pawia w Chinach służą do oznaczania stopnia mandarynów; u nas często używane bywają do ozdoby czapek wieśniaczych, i zostały nawet uwiecznione w piosenkach ludowych.

Paw należy do rzędu ptaków kurowatych, i zaopatrzony jest w pazury grzebne, którymi lubi szarpać ziemię. Na kró-

ORA ET LABORA.

Módl się i pracuj. *Ora et labora*,
Dzielny to środek na troskę
[i nudy.
Przezeń odzgnasz tęsknoty
[upiora
Rozproszysz widma uludy.

Modlitwa, jest to wszech dusz
[zjednoczenie,
W Bożej miłości i woli,
Praca zaś, Boskich zamiarów
[spełnienie
Szczęściu wszystkich ludzi gwoli.

Módl się i pracuj. *Ora et labora*.
Chciej, niech nastąpi Boże królowanie.
A wtedy pychy i chciwości zmore,
Ludzki ród dręczyć przestanie.

J. J.

lewskich i magnackich stołach w dawnych czasach, paw pojawia się zawsze na piecyste, przybrany kunsztownie w swoje pióra, do których większą przywiązywano wagę niż do smakowitości mięsa. U Rzymian mięso pawia uchodziło za wielki przysmak, zwłaszcza mózgi i języki.

Oprócz wrodzonej próżności, ptak ten ma jeszcze inne wady: jest złośnikiem i bez przyczyny rani dziobem kury i zwierzęta domowe nazbyt śmiało zbliżające się do niego; dzieci powinny z nim postępować ostrożnie i nie drażnić go niczem, bo zaraz skacze do oczu. Rycina nasza przedstawia właśnie pawia napadającego na kota, który też tknięty instynktem zachowawczym, walecznie przed nim umyka.

Pawie zostały sprowadzone do Europy za Aleksandra Wielkiego; dziko jeszcze żyją w Indyach wschodnich, na wyspie Ceylon i w Krymie w miejscowościach lesistych. Chodzą one stadami, po czterdzieści do pięćdziesięciu.

Zofia Urbanowska.

Etna i Wezuwiusz.

Od kilkunastu dni dochodzą nas wieści o coraz groźniejszych wybuchach Etny i Wezuwiuszu. Jakie rozmiary przybierze kłęska przewidzieć niepodobna, a co smutniejsze, że zapobiedz jej nie jest w ludzkiej mocy.

Nie pierwszy to raz Sycylia i Włochy są widownią takich strasznych, chociaż wspaniałych w swej grozie wybuchów; posłuchajmy co o nich wspominają uczeni, a przytem uprzytomnijmy sobie położenie tych wulkanów.

Jak wiadomo, Etna wznosi się w północno-wschodniej części Sycylii, na żyznych równinach Katanii, podnóże Etny stanowią pojedyncze góry, obejmujące ją pierścieniem kilku milowym; po nad niemi panuje szczyt wulkanu na wysokości 10,600 stóp. Boki góry pokryte są piękną roślinnością i dopiero powyżej 7000 stóp roślinność znika, a szczyt świeci śniegiem i zastygłym popiołem. Krater, czyli otwór Etny ma około 300 stóp głębokości.

Wezuwiusz wznosi się w północno-wschodniej stronie Neapolu i sięga zaledwie 3,700 stóp wysokości; stoki góry są bujną zielenią okryte; najpiękniejsze winnice, drzewa owocowe, siedziby ludzkie tworzą śliczną panoramę widoków.

W czasach przedchrześcijańskich zaznaczono 11 większych wybuchów Etny. Najstraszniejszy zaś wybuch Wezuwiuszu w 79 r. po Chrystusie upamiętnił się zniszczeniem Herkulanum, Pompei i Stabii.

Ponieważ Etna długo drzemała w spokoju, na skłonach jej wybudowano liczne osady i wsie wśród rozkosznej zieleni; ale w r. 1183 Etna budzi się i zalewa potokami ognistymi 15 tysięcy ludzi. Po tak strasznej kłęsce zapanował długi, pozorny spokój; ludzie zapomnieli o niebezpieczeństwie, gdy w latach 1609 i 1693 Etna wyrzuca straszną masę lawy pochłaniającą około 8 tysięcy ludności; Katania najdotkliwsze poniosła straty. Potem w r. 1754, 1766 i 1771 następowały mniej lub więcej groźne wybuchy. Jeszcze w pierwszej połowie naszego stulecia Sycylia ulegała wstrząśnieniom wskutek mniejszych wybuchów, którym ujście daje wiecznie otwarty, olbrzymi krater.

Nasycona spustoszeniem, jak zmęczony zwycięzca, Etna odpoczywa czas dłuższy. Dopiero w styczniu roku 1865 usłyszano w głębi wulkanu niby głuchy, przeciągły grzmot przy lekkim trzęsieniu ziemi; we wschodnim boku góry otwiera się czeluść ziejąca olbrzymiemi kłębami dymu; popiół i kamienie rozlatują się w około a lava zalewa przyległe doliny. Wściekłość Etny wzrasta; sześć otworów ziejże płomieniem niosąc zniszczenie. D. 3 lutego 1865 r. p. Viotti, w towarzystwie kilku innych nieulekzionych badaczy, postanawia dostać się na smutną widownią zagłady.

Oto co sam opowiada o tym strasznym wybuchu:

— „Przybwszy do stóp wzgórze Colla Grande przewodnicy nasi nie chcieli iść dalej: zostawiliśmy ich i posunęliśmy się sami w blaskach płomiennej lawy, którą okrążaliśmy na przestrzeni kilku metrów. O godzinie 4-ej rano wyszliśmy na dolinę Colla Grande. Przerażający ale wspaniały widok przedstawił się oczom naszym. Potok ognisty, szeroki od 60-100 metrów splywał szybko, zabierając po drodze olbrzymie głazy; ciągły trzask dawał się słyszeć a lava narzmiewała białemi bąblami. Jodły unoszone tą falą płomienną, zapalały się w jednej chwili rzucając ponure blaski. Z wielkiego krateru obłoki dymu i słupy lawy wznosiły się do niezmierzonej wysokości, grzmoty następowały jedno po drugim. Podczas jednej nocy, dolina Colla Grande zatoneła pod falami płomiennej lawy.”

Tak więc piękna okolica Katanii otrzymuje od czasu do czasu smutne napomnienia, żeby ludzie nie ufali pozornemu spokojowi wulkanu. Dziwnem jest zaiste, że gdy jedno pokolenie ponoszą nieobliczone straty, następne zapominają o tem, jakby miały rękomię, że kłęska nie powtórzy się więcej.

W 1873 r. Etna dawała znowu znak życia, ale uspokoiła się prędko.

Wezuwiusz odzywał się także niejednokrotnie, ale mniej dotkliwie niż jego sąsiadka. W r. 1855 wyrzucił on olbrzymią ilość lawy, która poszarpała boki góry w niezliczone czeluście ziejące ogniem. Przytem z powodu trzęsienia ziemi, zginęło w Kalabrii przeszło 30 tysięcy ludzi.

Uczeni wszystkich wieków badają ciągle góry wulkaniczne i składowe części materij wybuchowych.

P. p. Deville i Fougué za pomocą odpowiednich przyrządów pochwytili pewną ilość pary z samego prawie krateru Wezuwiusza.

Nie miejsce tu zajmować się naukowemi wynikami uczo-nych badań, przedstawiliśmy więc tylko fakta spełnione.

F. R.

ROZDOSIACIEL.

We Włoszech wyszła w tym czasie książeczka znanej powieściopisarki, Cordeli, w której utalentowana autorka w bardzo zajmujących powiastkach, napisanych przez starszą siostrę dla młodszego rodzeństwa, stara się wyłomaczyć małym czytelnikom, co znaczy wyraz: *bohater*. Dawniej tak nazywano wielkich wojowników, sławnych zwycięzców, lecz aby zostać bohaterem, niekoniecznie trzeba staczać krwawe bitwy, w których tysiące ludzi traci życie: przez cichą cnotę, niezwykłą wytrwałość, prawdziwą miłość bliźniego, stać się można w zupełności godnymi tego imienia.

Podajemy tu przekład jednej ze wspomnianych powiastek, pod tytułem:

ROZDOSIACIEL.

Na północnym stoku Apeninów, w dzikiej nieco okolicy, stała samotna i uboga chatka na drodze ku dolinie prowadzącej. Otacza ją zdaleka czarny las sosnowy i szczyty gór pokryte śniegiem, z pod którego gdzieś tam sterczy naga skała lub ciemniejszy domek ubogi.

A wszystko to wysoko, wysoko nad ziemią, wyżej niż ptasie gniazda w starym lesie.

W chatce, do której wstępujemy właśnie, pali się słaby ogień na kominku, a przed nim z czerwonymi od płaczu oczom, siedzi wychudła i blada kobieta.

W kącie izdebki ubogie łóżeczko, a na niem, czystą okrytą pościółką, śpi pięcioletnia dziewczynka spokojnie, nie troszcząc się o mróz i wiatr, który szaleje na dworze.

Kobieta przy ognisku poprawiła gasnące głównie, westchnęła ciężko i oczy otarła fartuchem.

W tej chwili drzwi izdebki otworzyły się powoli i chłop-

pyzyk 12 letni wniósł naręcze drzewa, które rzucił obok kominka.

— Widzisz, maceczko — zawołał radośnie — jak prędko uzbierałem tyle drzewa, będzie się przyczem rozgrzać i ugotować wieczerzę, a Lucia gdy wstanie cieszyć się będzie, że ciepło.

— Tak — rzekła matka, smutnie patrząc na gałęzie — mróz nie dokuczy nam może, lecz co jeść będziemy?

— Mąki jest jeszcze trochę, na dzisiaj wystarczy, są też pieniądze, które zostawił mi Franek, a tymczasem przecie i ja coś zarobię, zobaczysz, mam, że potrafię.

Ale kobieta zapłakała głośno na dźwięk imienia ukochanego syna, który właśnie poszedł do wojska.

— O, Franku, Franku! — wołała żałośnie — dlaczego nie zostałeś z nami, ty mój opiekunie, ty pociecho życia mojego! Pomrzemy teraz z głodu — mówiła dalej, płacząc — bo cóż ja chora pocznę z dwojgiem dzieci? Nieszczęśliwa dola nasza, biada nam bez Franka, który nas karmił i odziewał.

— Ja go zastąpię, mam — rzekł Antoś nieśmiało, podnosząc rękę kobiety i przyciskając ją do ust.

— Dziecko jesteś — odparła — cóż ty zrobić możesz? O, gdybym choć zdrową była!

— Mam lat 12 mam, jestem zdrow i silny, poszukam pracy i zarobię na was, jak obiecałem Frankowi.

— O czym mówiliście przez drogę, kiedyś go odprowadzał? — zapytała znowu kobieta, myśląc o najstarszym synu.

Antoś spuścił oczy i zaczerwienił się nagle.

— Kazał mi szukać pracy — odparł zcicha — i o tem tylko mówiliśmy. Zaraz też zejdem na dół, do doliny, może dziś jeszcze zarobię grosz jaki.

Stał chwilę cicho i patrzył na matkę, jakby czekając, czy mu co nie powie, czy nie pożegna go słowem zachęty, ale widząc, że o nim może zapomniiała, pogrążoną w smutnej zadumie, potrząsnął głową i wybiegł z izdebki, zmierzając drogą ku dolinie.

Z początku szedł bardzo szybko, pogwizdując czasem, przeskakując z ręcznic ze skały na skałę, lecz naraz przypomniał sobie, że tę samą drogę przed parą godzin przebywał wraz z bratem i zaraz na myśl przysłała mu rozmowa, która była początkiem nowego dlań życia.

Antoś nie wiedział dotąd, co to troska, chodził do szkoły, uczył się i bawił, dnie świąteczne wesoło spędzał z towarzyszami, nie kłopotąc się, czy w domu nie zabraknie chleba. Brat ani matka nie wymagali od niego pracy, a drobne posługi, jakie im oddawał chętnie, nie utrudzały go wcale. Był też wesołym i czuł się szczęśliwym, swobodnym, jak dzikie ptaszę, póki Franciszek nie oznajmił matce, że go wezwano, aby stawił się do pułku.

I tego jeszcze Antoś nie zrozumiał odrazu, nie pojmował, jaka zmiana zajdzie w jego życiu, gdy brata zabraknie w domu; dopiero rozmowa, którą miał z nim w drodze, wyjaśniła mu to dokładnie. To też spoważniał nagle, gdyż wydało mu się, że stał się innym zupełnie człowiekiem, i poczuł wielki ciężar odpowiedzialności, jaki mu spadł na ramiona.

— Byłeś dotąd dzieckiem — mówił Franek — nie wiedziałeś, co się wkoło ciebie dzieje, i nie psułym ci tego szczęścia, gdyby nie to, że muszę odejść i tobie powierzyć wszystkie ciężary i troski. Od dzisiaj, Antku, stajesz się człowiekiem, głową rodziny, pamiętaj, mamę i Lucię twojej powierzam opiece.

— Mamę? — zapytał przestraszony Antoś.

— Tak, mamę. Czy nie widzisz, jak jest chorą? Doktor powiedział, że ma wadę serca i strzedz ją trzeba przed każdym zmartwieniem, chronić od pracy, niepokoju. Biedna mama potrzebuje ciepła i wygody, dobrego pożywienia, spoczynku, wszystkiego, co mieć mogą ludzie bogaci. A my jesteśmy ubodzy i trzeba pracować, aby jej czego nie zabrakło. Gdy mnie nie będzie, ty o tem myśleć musisz, tobie ją oddaję pod opiekę... mamę i Lucię, pamiętaj! Pracuj, rób co możesz, w wiosce znajdziesz jakie zajęcie, ja ci przyszlę grosz każdy, który mi się uda zarobić, a ty czuwaj tu nad niemi i nie zapomnij nigdy, jak święty obowiązek spada dziś na ciebie.

Mówiąc to, biedny Franek miał wielkie łzy w oczach i aby się uspokoić, zaczął opowiadać o swoich zamiarach przyzporzenia dochołu oddalonej rodzinie.

Potem uściśnęli się bracia w milczeniu, bo żaden z nich mówić nie mógł, i rozeszli w strony przeciwne. Antoś przyrzekł bratu opiekować się chorą matką, lecz czuli obawę w tej chwili, jak słaba to była opieka.

I teraz myślał o tem biedny chłopiec, zbliżając się do cichej wioski, przejęty chłodem ostrego powietrza.

— Gdyby to było lato — myślał w duszy — mógłbym się zgodzić chociaż za pastucha, lecz w zimie, w zimie, co ja robić mogę?

Przypomniał sobie, jak to zwykle los sprzyja dobrym dzieciom i zsyła im pomoc w postaci wróżki, przebranej za biedną staruszkę, której mogą wyświadczyć jaką drobną przysługę, albo zwierzęcia, które ocalone od śmierci, okazuje się potężnym jakim czarodziejem. Gdyby to jeszcze zdarzyło się coś podobnego, jakżeby chętnie śpieszył na pomoc słabszemu! Ale niestety, próżno oglądał się wkoło, wiatr tylko lucztał pomiędzy skałami, szarpiąc drobną postać chłopczyzny i uderzając z wyciem o ostre, sterczące glazy.

Nakoniec zbliżył się do pierwszej chaty i serce zakolało mu mocniej nieokreśloną nadzieją i trwogą. Jak przyjmą tutaj ludzie jego prośbę? Czy ulitują się nad nim? Czy znajdzie pracę, której potrzebuje tak bardzo?

Szedł nieśmiało pustą, pęsną ulicą, kiedy drzwi chaty otworzyły się powoli i wyszła z nich kobieta, niosąc w ręku koszyk, z którego wysypała trochę śmieci.

Antoś zbliżył się do niej i nieśmiało spytał, czy nie miałaby dlań zajęcia.

— Zrobiłbym wszystko chętnie i starannie — dodał, patrząc na nią prosząco — mogę paść bydło, załatwiać sprawunki, czyścić, porządkować w domu.

— Co ci do głowy przyszło, moje dziecko? — ruszając ramionami, odparła kobieta. — Czyż nie wiesz, że gospodarz w zimie sam nie ma co robić?

Odeszła, zostawiając Antka na tem samym miejscu, nie spostrzegłszy nawet, że ma dwie duże łzy w oczach.

Chłopiec stał długą chwilę nieruchomy, potem westchnął i poszedł dalej.

Z podwójną nieśmiałością zapukał do następnej chaty, ale tu gniewny gospodarz nazwał go „głupim włóczęgą” i drzwi mu zatrzęsnał przed nosem.

Antek szedł dalej z sercem coraz cięższym, nie czując zimna i głodu, przejęty trwogą na myśl, co się stanie, gdy nie znajdzie wcale zajęcia.

Przechodząc koło kościoła, spostrzegł jakiegoś pana, idącego z przeciwnej strony. Antek zatrzymał się i zarumienił — nagle postąpił krok naprzód i — myśląc o chorej matce, o małej siostrzyczce — wyciągnął rękę, zsiniałą od zimna, i cichym głosem prosił o jałmużnę.

— Wstydz się zebrać w tym wieku! — rzekł przechodzień, niechętnie rzuciwszy okiem na dziecko. Wziąłbyś się lepiej do pracy, próżniaku.

Do pracy! On przecież tylko tego pragnął, chciał nawet to powiedzieć, lecz coś go ścisnęło za gardło, i oddalił się bez słowa, nieszczęśliwy i upokorzony.

Szedł teraz wolno. Niedługo stanął: czuł się zmęczonym, głodnym i zziębniętym, nie miał siły iść dalej, i przyszło mu na myśl, że trzeba z niczem powracać do domu, gdyż turkot przejeżdżającego dyliżansu zwrócił nagle jego uwagę.

Pocztowy powoz zajeżdżał przed hotel i Antek puścił się z góry jak strzała, aby równocześnie z nim stanąć przed bramą.

Zaczerwieniony od szybkiego biegu w sam czas znalazł się przecież przed oberżą, i śmiało zbliżył się do kilku osób, które wysiadły z pakunkami. Ale w tej chwili właściciel hotelu spojrział na niego surowo i gniewnie, i machnąwszy ręką, rozkazał mu odejść, mówiąc ostrym głosem, że niema tu nic do roboty.

Na te słowa biedny Antek ucałował się tak nieszczęśliwym,

iż zasłonił twarz rękami i głośnym wybuchnął płaczem. Usunął się jednak na bok i stanął pod ścianą.

— Co ci to, chłopcze? — spytała córka oberżysty, zdjęta litością na widok płaczącego dziecka.

— Och, jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy — mówił Antek, łkając głośno; — od rana szukam pracy i nie znaleźć nie mogę. Mama chora i potrzebuje wygody, brata zabrano

twiony prawie, że głód zaspakaja, a dla ukochanych swoich nic jeszcze dotąd nie zdobył.

— Nie płaczże, moje dziecko — rzekła nakoniec dziewczyna — gdybym wiedziała, że dasz sobie radę, że ci zaufać można, potrzebuję odesłać paczkę do folwarku Colombara wiesz, tam na górze... aleś ty tak mały, że nie uniesiesz pakunku.

(d. c. n.)



do wojska, zostałem sam jeden, i nic zarobić nie mogę, bo nie ma dla mnie zajęcia! O Boże, Boże, Boże, co ja pocznę!

Słowa Antka i łzy jego wzruszyły dobrą dziewczynę.

— Chodź ze mną — rzekła — dam ci gorącej zupy, bo zziąbłeś widzę, biegając po mrozie, biedny chłopcze.

— Eh, nic mi nie będzie — odparł, podnosząc na nią wdzięczne oczy, — nie o mnie chodzi, kochana panienko, ale o mamę i Lucję, dla których muszę coś zarobić koniecznie.

Córka oberżysty wzięła go do kuchni i dała mu talerz zupy, lecz łyż padały na łyżkę, gdy podnosił ją do ust, zmar-

MAŁY KRÓLEWICZ,

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WĘGIERSKICH.

przez Teresę Jadwigę.

(Dokończenie).

Wejście Izabelli, za którą służba wniosła półmiski z mięsem i srebrne dzbany z miodem i piwem, przerwało to opowiadanie. Goście siedli do stołu i posilali się chciwie, bo gło-



Z letniego piszemy mieszkania.
 Tak dobrze tu, miło, swobodnie
 Nikt światła, powietrza nie wzbrania,
 I słońce tak grzeje łagodnie.
 Na żerdziach od płotu siedzące,
 Na pszenne patrzymy stąd łany,

Zrywamy bławatki, rumiany
 I jaskry, co rosna, na łące.
 Wśród woni i światła i ruchu,
 W słończeczku, co jasno tak świeci,
 Myślimy — co robią tam dzieci
 W izb ciasnych zamknięte zaduchu?

T. P.

dni byli bardzo; lecz gdy wstali od stołu, znowu rozmawiać poczęli. Teraz z kolei pytali Izabellę i Zygmunta, co słycać w ich rodzinie, i na zajmującej rozmowie upłynął im wieczór; noc zaskoczyła niespodzianie, królowa wydała służbie rozkazy, jak gości pomieścić i wszyscy po dniu pełnym wrażeń udali się na spoczynek.

Nazajutrz Izabella i Zygmunt wysłali listy do brata

i wuja, by rady jego zasięgnąć i cierpliwie oczekiwali odpowiedzi. Rana, jaką Zygmunt otrzymał podczas pożaru, powoli się zablizniała, goście czas mu rozmową skracali, całe niemal dni spędzając z nim razem, oddalając się tylko na łowy na wyraźne życzenie Zygmunta. Czas schodził im na opowiadaniu, jak mieszkańcy Węgier wspominają zawsze z miłością królową Izabellę, jak pragną, by panem ich był jej syn. Mówili,

jakie zmiany trzebaby w Siedmiogrodzie zaprowadzić, jakie ulepszenia poczynić, jakie niedole najprzód zatrzeć. Zygmunt słuchał uważnie, marzył, jak będzie pracował dla szczęścia swego ludu, gdy księciem jego zostanie, uczył się od nich, co czynić będzie jego powinnością; czasami swoje zdanie wypowiadał, spowiadał się ze swych pragnień i marzeń, a panowie Siedmiogrodzcy z radością go słuchali, bo te marzenia chłopięce, odsłaniały w nim duszę szlachetną i umysł poważny.

* * *

W mieście stołecznym Siedmiogrodu Hermansztadzie było rojno i ludno. Wszystkie okna uwieńczone, ulica zamkowa kwiatami wysłana, na niej tłok wielki, a na twarzach tłumu radość świeci... Choć ciasno, porządek panuje. Zebrali się oni tutaj już od świtu, bo Zygmunt Zapolya przyjął ofiarę Siedmiogrodzian, zgodził się być ich księciem, czekają więc dziś jego przybycia. Już słysząc głuchy łoskot, lecący z dali, słysząc tentent i rżenie rumaków, już dzwony świątyni bić poczynają uroczyste, poważne ich dźwięki mówić się zdają: Pokój zagości u was, szczęście zamieszka u was!

Nareszcie ukazał się orszak; przodem na białym koniu w aksamitnej bekieszy, w czapce brylantową kitą przystrojonej, jechał młodzian lat szesnaście liczyć mogący, obok niego dwóch panów osiwiających, za nimi wielu innych młodszych i starszych, wszyscy na koniach, wszyscy strojni.

Ów młodzian, otoczony licznym dworem, to mały królewicz Zygmunt Zapolya; z oczów mu dobroć i rozum patrzy, uśmiechem wita lud skupiony na jego drodze a lud wita go radośnie:

— Niech żyje Zygmunt Zapolya! niech żyje Izabella królowa Węgier! leci okrzyk pod obłoki, mięsza się z dźwiękami dzwonów a ludowi się zdaje, iż słyszy w powietrzu głos jakiś, który na jego wołania odpowiada:

— Pokój zagości u was, szczęście u was zamieszka. I głośniejsze jeszcze krzyczy:

— Niech żyje Zygmunt Zapolya, książę Siedmiogrodu! Niech żyje Izabella, królowa Węgier.

Za orszakiem dworzan książęcych ciągną kolasy, w pierwszej z nich lśniącej od złota, siedzi Izabella, obok niej Anna Kolar. Zaczyna ta Węgierka zaledwie dowiedziała się o postanowieniu Zygmunta, wnet pośpieszyła naprzeciw młodego księcia, Izabella powitała ją, jak przyjaciółkę i prosiła, by znowu razem z nią zamieszkała. Troški przebyte, niepokoje, zawody zmieniły je obie: na twarzy Izabelli szczególnie wryły one swe ślady, chorobliwa bladeść pokrywała jej lica, lecz mimo tej bladeści na czole jej świeciła pogoda, a w oczach cicha radość, bo też szczęśliwą, czuła się w tej chwili nad wyraz. Te radosne okrzyki mówiły jej, ile serc kocha jej syna, a miłość bliźnich to skarb tak wielki...

Za kolasą królowej widać pojazdy panów i pań Siedmiogrodu, potem rycerstwa oddział, potem tłumy sług, za nimi wozy wyładowane. Gdy orszak zbliżył się do zamku, zatrzymał się na dziedzińcu, służba rozproszyła się w różne strony a Izabella i Zygmunt otoczeni dworem i starszymi z rycerstwa do sali sejmowej podążyli. Czekają tu przygotowane dwa trony, które Zygmunt z matką zajęli, a jeden z panów głos zabrał.

— Siedmiogrodzianie wdzięczni, żeście się do ich prośb przychyliłi — rzekł, stanąwszy przed tronem — dzięki swoje składają wam, Zygmuncie Zapolya. Bądź dobrym, synu Jana, jak dobrą jest matka twoja, bądź rozumiały jak ona, słuchaj jej rad, póki lat nie dojdiesz, a poddani twoi kochać i szanować cię będą... Ty zaś królowo, czuwaj dalej nad twym synem, jakieś dotąd czuwała, zacy on i dzielny, lecz młody jeszcze, rady twojej potrzebuje.

— I my wam wdzięczni jesteście panowie, za ufność, jaką w nas pokładacie — odparła królowa — możecie być pewni, że póki żyć będę, póty rad synowi nie odmówię, póty czuwać nad nim będę, ile życia mego.

— A ja przyrzekam wam, że w każdej chwili trudnej i niepewnej, rady waszej i matki zasięgać będę; wiem, że młodości brak doświadczenia, które starsi posiadają — odezwał

się Zygmunt — Celem sercem pragnę, by poddani moi byli szczęśliwi, więc strzedz się będę błędów.

To powiedziawszy, wyciągnął ku zebrany rękę, a w dłoni jego zabłysnął krzyż złoty, odłamek korony S: Stefana.

— Na to godło naszej wiary przysięgam, iż jedynym celem mego życia będzie szczęście ziemi, której panem mnie uczyniliście, ludu, który opiekunem swym mnie uznał — dodał głosem wzruszonym. Zebrani panowie przyklękawszy odezwali się jednogłośnie:

— A my na ten krzyż przysięgamy, że ci książę wierni pozostaniemy na zawsze.

Nazajutrz Izabella i syn jej Zygmunt Zapolya otrzymali przysięgę wierności od wszystkich mieszkańców Siedmiogrodu, a wieczorem powinszowania z ziemi rodzinnej. Hala, która, wróciwszy do swej ziemi, wyszła tam za mąż i rozstała się skutkiem tego z królową, dowiedziawszy się o szczęściu, jakie ją spotkało, pośpieszyła listownie chociaż swe uczucia wyrazić, tłumacząc się, że dom i dziatwa nie pozwalają jej przybyć do Hermansztadu, by ustnie złożyć powinszowania.

* * *

Rok minął od powrotu Izabelli do Siedmiogrodu, rok możliwie spokojny. Iubo Ferdynand nie uznał uroczyste Zygmunta księciem Siedmiogrodu, nie napadał jednak jego państwa a mieszkańcy cieszyli się pokojem i czuli się szczęśliwi pod rządami młodego księcia i jego matki. To też smutek głęboki przejął ich serca, gdy dnia jednego z zamku rozbiegła się wieść, że królowa zachorowała niebezpiecznie... Codzień schodziły się tłumy ludu na dziedzińiec zamkowy pytać o zdrowie królowej, lecz codzień jedną otrzymywali odpowiedź:

— Nie lepiej; módlcie się za nią.

Nieszczęścia przebyte zbyt wcześniej zniszczyły wątły organizm tej zacnej kobiety, sercowa choroba rozwinęła się i czyniła szybkie postępy. Czując blizki koniec, Izabella przywołała dnia pewnego syna, Annę Kolar i starszych panów, a gdy stanęli przy jej łożu, rzekła głosem wzruszonym.

— Pożegnać cię chciałam Anno i was panowie, którzy życzliwi nam byliście zawsze... prosić chciałam byćcie czuwalni nad synem moim, gdy od niego odejdę.

Oni ukłękli przy jej łożu i przyrzekli uroczyste spełnić jej życzenie. Izabella podała im dłoń, którą łzami skropili, poczem zwróciła się do syna i drżące ręce wyciągnęła nad głową kłęzącego:

— Boże czuwaj nad nim, strzeż go od zdrady i wszelkich nieszczęść, od grzechu i wszelkiej słabości — rzekła — niechaj miłość i szacunek ludzi zawsze go otaczają, niech wiara nie opuszcza jego serca, rozum myśli.

Zygmunt lkał głośno jak dziecko, matka pochyliła się ku niemu, złożyła pocałunek na jego czole.

— Bądź dobry, sprawiedliwy, kochaj prawdę i pracę — dodała cichszym głosem — pragnij szczęścia drugich, swoje chętnie oddaj w ofierze bliźnich i kraju... Tu głos jej ustał. Jezus... Marya... Józef — wymówiła szeptem i padła na poduszki, westchnęła ciężko, a z tem westchnieniem uleciała jej dusza do Boga, zacne jej serce bić przestało...

W trzy dni potem odbył się pogrzeb Izabelli, królowej Węgier, tłumy ludu szły za jej trumną w żalobie, tłumy ludu rzewnie płakały, a jęki i płacz głużyły śpiew kapłanów.

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

Za nic w świecie nie byłby powiedział, dlaczego „Pod królem Matyaszem” nikogo niema w tej chwili!

— We wsi waszej musi być przecie od trzystu do czterystu mieszkańców?

— Około tego, panie hrabio.

— A przecie przechodząc przez wieś nie spotkaliśmy żywej duszy?

— Bo to... proszę pana hrabiego... sobota... a jutro... niedziela — jękał Jonasz zmieszany.

Na szczęście dla niego Franciszek Telek nie nalegał na odpowiedź, bo za nic w świecie nie byłby Jonasz wyznał istotnego stanu rzeczy. I bez tego, przybysze ci o wszystkim dowiedzą się niezawodnie i kto wie, czy nie uciekną czempredzaj z miejscowości tak słusznie podejrzaney?

— Byle tylko *głos* nie zaczął gadać w izbie, gdy oni przy kolacyi siedzieć będą! — myślał Jonasz nakrywając do stołu.

W pół godziny niespełna skromny posiłek zadysponowany przez hrabiego stał na stole, nakrytym śnieżnie białym obrusem. Według zwyczaju przyjętego w podróży, Franciszek Telek kazał usiąść przy stole Rockowi, i zjadłszy wicherzę z wielkim apetytem, obaj udali się na spoczynek.

Podczas wieczerzy, zamienili pomiędzy sobą dziesięć słów najwyżej, z wielką przykrością Jonasza, który lubił mięszać się do rozmowy. W ogóle zresztą Franciszek Telek zdawał się być bardzo mało mównym, Rocko zaś, wyglądał na takiego, z którego nie uda się wyciągnąć żadnych wiadomości o panu i jego interesach.

Zrozumiał to Jonasz i musiał rad nie rad powiedzieć gościom swoim dobranoc. Nim jednak powrócił na facyatkę, przebiegł całą izbę spojrzeniem, niespokojnie nastawiając ucha na każdy szmer i szepcząc sam do siebie:

— Byle tylko ten przeklęty *głos* nie obudził ich ze snu! Na szczęście noc upłynęła spokojnie.

Nazajutrz, wczesnym jeszcze rankiem, rozeszła się po wsi wiadomość, że do gospody *Pod królem Matyaszem*, zawitało aż dwóch podróżnych, skutkiem czego mnóstwo ludzi zbiegło się przed gospodę.

Zmęczeni wczorajszą wędrówką Telek i Rocko spali jeszcze, i prawdopodobną było nawet rzeczą, że nie mają zamiaru wstać wcześniej jak o siódmej lub ósmej rano.

Niecierpliwosć brała więc ciekawych, z których jednak nikt nie miałby odwagi wejść do izby, dopóki podróżni nie wyjdą ze swego pokoju.

O samej ósmej ukazali się nareszcie obydwaj. Nic im się złego nie stało; widzieli wszyscy, że chodzą, rozmawiają, siadają do śniadania, jedzą, a widok ten otuchą napelnił zebranych. Zresztą Jonasz stojąc w progu, uprzejmym uśmiechem dodawał odwagi dawnym swoim kundmanom, zapewniając, że niemają żadnego powodu do obawy.

W samej rzeczy, skoro podróżny zaszczycający gospodę swoją obecnością, był szlachcicem — rumuńskim szlachcicem i do tego należącym do jednej z najdawniejszych rodzin — cóż złego stać się komu mogło w tak szacownem towarzystwie?

Skończyło się na tem, że sędzia Kolc, uważając sobie za obowiązek danie dobrego przykładu, zdecydował się na krok stanowczy i około dziewiętej wkroczył do izby, nie bez pewnego wahań. Natychmiast prawie po nim przybył nauczyciel Hermod, oraz kilku innych, stale tu dawniej bywających, między nimi zaś pastuch Fryk. Doktora tylko brakło; nikt nie zdołał go namówić na krok tyle ryzykalny.

— Noga moja nie postanie u Jonasza — odpowiadał — nigdy! Choćby mi płacił po dziesięć *goldenów* za wizytę!

Nadmienić tu wszakże należy, że nie w jedynym celu zadowolonia swojej ciekawości, ani też przez chęć zawiązania znajomości z jasnie wielmożnym hrabią Franciszkiem Telekiem, odważył się sędzia powrócić do gospody. Nie! Miał on w tem własny interes i wzgląd na ów interes właśnie, niemało się przyczynił do jego postanowienia.

Rzecz szła mianowicie o to, że jako podróżny, młody hrabia obowiązany był opłacić prawo pobytu we wsi tak za siebie, jak i za swego służącego, która to opłata szła bezpośrednio do kieszeni jedyne go we wsi przedstawiciela urzędu.

Przyszedł więc sędzia upomnieć się o swoją należność, co uczynił w bardzo przyzwoitych wyrazach. Franciszek Telek, jakkolwiek zdziwiony podobnem żądaniem, nietylko za dość mu uczynił, lecz nawet zaprosił sędziego i nauczyciela, aby z nim siedli do śniadania.

Przyjęli, nie widząc powodu odmawiać tak uprzejmym zaprosin. Jonasz korzystając ze sposobności, postawił na stole najlepsze trunki jakie miał w piwnicy; co widząc, ten i ów nalać sobie kazał kieliszek i przepił do sąsiada. Gwarno zrobiło się więc w izbie i można było mniemać, że dla gospody „*Pod królem Matyaszem*” wróciły dawne, dobre czasy.

Zapłaciwszy, co się od niego należało, hrabia spytał, czy opłata prawa pobytu przynosi znaczny dochód.

— Nie tyle, ilebyśmy chcieli, panie hrabio — odparł sędzia.

— Tak mało więc podróżnych zwiedza tę część Siedmiogrodu?

— Rzadko ich tu widzujemy — odparł sędzia — chociaż okolice naszą poznać warto.

— I ja tegoż jestem zdania — rzekł młody człowiek. — To, com widział, wydaje mi się godnem uwagi. Ze szczytu Retyezatu, zachwycałem się doliną Syli, miasteczkami rozrzuconemi na wschodnim krańcu widnokregu, również jak półkolem gór zamykających widnokrąg od północy.

— Piękne to, panie hrabio, bardzo piękne — wtrącił się do rozmowy Hermod — powinienbyś pan jeszcze podjąć wycieczkę na szczyt Paringu.

— Nie wiem czy mi czasu wystarczy.

— O, dnia jednego dość na to.

— Zapewne, ale udaję się stąd do Karlsburga i chcę ruszyć w drogę jutro rano.

— Jakto! pan hrabia chce nas opuścić tak prędko? — zapytał Jonasz z najwdzięczniejszym swoim uśmiechem, nie gniewałby się bowiem, gdyby goście jego przedłużyli pobyt w gospodzie.

— Muszę — odparł hrabia. — zresztą, na cóż by mi się przydał dłuższy pobyt w Werście?

— Niech pan hrabia wierzy — zaczął sędzia — że we wsi naszej warto zatrzymać się dłużej.

— Zdaje się jednak, że niewiele osób tu uczęszcza — odparł hrabia — prawdopodobnie dla tego, że w okolicy niema nic ciekawego...

— W samej rzeczy... nic... ciekawego — z niejakim wahaniem przyznał sędzia, myśląc o zamczysku.

— Nie... nic ciekawego — powtórzył za nim Hermod.

— Jakto! jakto! — mimowoli wyrwało się Frykowi.

Warto było widzieć spojrzenia, które rzucili na niego Kolc i Hermod, a głównie Jonasz, o kieszeń własną zaniepokojony. Co za potrzeba mu była wtajemniczać obcego w czyisto miejscowe sprawy? Wyjawić mu wszystko, co się działo na wyżynie Orgalu, zwrócić jego uwagę na tajemnicze zamczysko, znaczący to samo, co nastraszyć go i podsunąć mu myśl opuszczenia wsi, choćby dziś jeszcze. I na przyszłość nawet odstąpić to może podróżnych — doprawdy, ten pastuch nie więcej ma chyba rozumu od swoich baranów!

— Milcz-że, głupcze jeden, raz już bądź cicho — półgłosem oburknął sędzia Kolc. Nic to już wszakże nie pomogło, bo wykrzyknik pastucha zwrócił uwagę hrabiego, który zwrócił się wprost do Fryka z żądaniem, by mu wytłómaczył, co znaczy: *jakto*?

Pastuch nie należał do ludzi cofających się przed otwartą odpowiedzią, w głębi duszy zaś myślał może, że hrabia da jakąś dobrą radę, z której wieś cała skorzysta.

— Powiedziałem: *jakto*, panie hrabio, i nie zapieram się tego — odpowiedział więc Fryk bez wahania.

— A zatem znajduje się w okolicach Werstu jakaś osobliwość godna widzenia? — pytał hrabia.

— Osobliwość... — niepewnym głosem powtórzył sędzia.

— Nie! nie! niema żadnej! — jednogłośnie zawołali obecni, drżąc na myśl, że druga próba dostania się do zamczyska, ściągnie na nich niechybnie nowe nieszczęścia.

Hrabia Telek, mocno zdziwiony spoglądał na tych ludzi, których oblicza wyrażały przestrasz a nie mogąc jego przyczyny zrozumieć:

— Co to jest? powiedcież mi! — zapytał.

— Co to jest, panie poruczniku! — zabrał głos Rocko, — Zamczysko jest w górach, jak się zdaje.

SZARADA.

przez Ewę Maryę,

Wciąż zwraca się pierwsze ku trzeciej osobie; Drugie bądź tym, którzy dobrze radzą tobie. Wszystko jest, od wieków pięciu i pół blisko, Aż pięciu tureckich sułtanów nazwisko.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Iskierka elek. dla Rybki z Tet.

Zapełnić kropki literami aby rząd pierwszy oraz pierwsze litery utworzyły nazwisko francuskiego współczesnego przyrodnika. Znaczenie wyrazów w dalszych rządach. 2. Wyspa duńska na wielkim Bełcie. 3. Jeden z najwaleczniejszych rycerzy wojny trojań. 4. Bogini mądrości. 5. Tytuł japońskiego monarchy. 6. Nazwa mieszaniny metali. 7. Krople wytworzone z pary wodnej. 8. Rzeka w Azji wpad. do Baikalu. 9. Rzeka w Syberii. 10. Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go.

Zagadki: Orlik.

Łamigłównki sylabowej:

- 1. Jaspis. 2. AutomaT. 3. CefalonA. 4. HuroN. 5. OpłatkI. 6. WalliS. 7. InicyaŁ. 8. CaprerA. 9. ZłoczóW. Jachowicz — Stanisław.

MARYA MATUSZEWSKA

PRZEŁOŻONA PENSYI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

W WARSZAWIE

przy ulicy LESZNO Nr. 28.

przyjmuje uczennice tak miejscowe jak przychodzące na warunkach bardzo przystępnych. Zapis odbywa się codziennie od 10 do 6-ej.

Na kolonie letnie złożyli:

- Gospoia taty rs. 3 kop 50—Maciek Pod. rs. 2 kop. 40.— Krzemień z nad Smotryczy rs. 1 kop. 10 — Zmud, i Złota Rybka rs. 2 — Maryla Z. kop. 70.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Ora et labora, wiersz p. J. J. — Paw p. Zofię Urbanowską (z drzew.) — Etna i Wezuwiusz p. F. R. — Roznosiciel — Z letniego mieszkania, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Mały królewicz, powieść z dziejów węgierskich p. Teresę Jadwigę dokoń. — Tajemniczy zamek. — Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Powóz podróży na Ceylonie (z drzew.) — Mały przyrodnik. — Jagoda, wiersz. — Królowna, opowiadanie ciotki Maryni. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow, Andrzeja Laurie przekład T. P.

WIECZORY RODZINNE.



POWÓZ PODRÓŻNY NA WYSPIE CEYLON.

Przyłączona tu rycina przedstawia pojazd, jakiego się na Cejlonie używa do podróży. Dwukołowy, kryty, cały pleciony z łoży i palmowych prętów, zaprzężony jest w dwa woły niewielkiej lecz silnej i wytrzymałej rasy miejscowej. Wewnątrz, siedzenie jedno w głębi, drugie na przodzie; na noc można je zsunąć i na tak urządzonym łóżku spać jak najwygodniej. Pakunki umieszcza się pod siedzeniami, na podłodze wozu.

MAŁY PRZYRODNIK.

— Wie tatuś czym ja będę? Panią!

— Jakto dzidziu?

— A no panią... tak jak mama. Będę sobie miała duży dom, będę gospodarowała okropnie, będę miała męża, służących... aha! i sto dzieci.

— Ależ Zosieńko, mama nie ma dużego domu, jest bardzo dobrą gospodynią, ale nie *okropną* i ma was tylko dwoje...

— To też ja będę jeszcze daleko większą panią, niż mama.

— Daj ci Boże, dzidziu. A ty Stefanku? — rzekł

ojciec, zwracając się do starszego syna. — Masz lat dwa naście, czy myślałeś już kiedy o swej przyszłości?

— Ja tatusiu, chcę być sławnym, znakomitym przyrodnikiem! Muszę poznać tajemnice życia najdrobniejszych zwierzątek, najmniejszych roślinek, dociec rzeczy, o których nauka dotąd nie wie, muszę wiedzieć wszystko, wszystko... ile się tylko w głowie pomieści. Całe życie na to poświęcę, ach... żebym tylko przeniknął to wszystko, co mię tak zaciekawia.

— Czy tylko z samej ciekawości?

— O nie, tatusiu! Ja sobie prawie ciągle o tem myślałem, ile odkryć dobrych, pożytecznych dla całego świata może zrobić człowiek, znający nawskroś przyrodę. Jeszcze byłem bardzo małym, a już mi to chodziło po głowie. Mikstury gotowałem z różnych listków i korzonków, suszyłem kwiatki, tarłem je na proszki...

— I zjadałeś te lekarstwa, biedaku?

— Ach nie; leczyłem niemi koty babuni, w które wmawiałem różne choroby. Jeden zdechł nawet skutkiem tej kuracyi, a babcia dowiedziawszy się, powiedziała mi doskonałe kazanie, zburczała, że mam złe serce. Ale ja nie ze złego serca, tatusiu... doprawdy. Byłem niby doktorem, a koty były memi pacyentami.

Albo i przemysł, tatusiu; niejedno jeszcze udoskonalić, farby najpiękniejsze, dotąd nieznanne, wyszukać, utkać cudne materye z przędzy, o jakiej się ludziom nie śni... Ach Boże! Jaki ja będę szczęśliwy, jak wszystko poznam i posiędę, o czem zaledwie słabe mam wyobrażenie!

Ojciec położył rękę na głowie syna, patrząc z upodobaniem na jego twarzyczkę, jaśniejącą szczerym zapalem.

— Dziękuję Bogu, mój Stefciu, że ci dał tak wyraźne, tak wybitne pragnienia. Od kilku już lat zwracam uwagę na ciebie, i to coś w tej chwili powiedział, nie jest dla mnie nowiną. Szczęśliwy człowiek, który od dzieciństwa ukocha jakąś naukę, który ma cel w życiu i ku temu celowi dąży coraz wyżej.

Pięcioletnia Zosia, słuchała nie rozumiejąc, rozmowy ojca ze starszym bratem, wreszcie znudzona wybiegła do ogrodu. Stefanek tymczasem, korzystając ze sposobności, popisywał się przed tatusiem swojemi zbiorami. Były tam trzy pudła najrozmaitszych motyli z których większą część sam złapał i uspiwszy na wieki eterem, umiejętnie rozpiął na kartonie. Ogromny zbiór innych, bardzo ciekawych owadów, zielnik w dwóch tomach; najuboższym był zbiór minerałów, ale też ta gałąź historii naturalnej, najmniej dotąd nęciła młodego przyrodnika.

— A teraz idź do ogrodu — zakończył rozmowę tata — korzystaj z wakacyj, biegaj, baw się i ucz zarazem, bo wszystko co widzisz wkoło siebie, tu zwłaszcza na wsi, to twoje cuda, twoje ideały. Ja pójdę do żniwarzy, zobaczyć jak idzie robota.

Po odejściu ojca, Stefanek zaczął porządkować swoje skarby, wpatrując się z zawsze nowym zachwytem w stubarwnę skrzydełka motyli.

— Ach Stefciu, Stefciu! Pójdź ze mną przedziuteńko! Tam na ścieżce koło altanki, leży w słońcu śliczna gąsienica. Biegłam prędko, o mało jej nie rozdeptałam. Ogromna, powiadam ci! Chyba nie motyl, ale jakiś ptak z niej będzie.

— Oj ty dudku, dudku...

— Spi sobie, zdaje się, bo się nie ruszała, alem ją może biegnąc obudziła i ucieknie. No, chodźże, chodź prędko.

I pobiegli.

Dochodząc do altany, Stefanek zwolnił kroku; zaciekawiony opowiadaniem Zosi, bał się w istocie spłoszyć gąsienicy... na ptaka.

Trzy kroki przed altaną stanął jak wryty.

Na samym środku leżał wygrzewając się na słońcu, w pierścień zwinięty... wąż! Brudno-szary, czarno centkowany grzbiet jego, nie pozostawiał Stefciowi najmniejszej wątpliwości co do właściwej nazwy gadu. Nie był to zwykły nieszkodliwy zaskroniec, ani padalec, ale straszna, jadowita żmija. Chłopczyk zbladł i stał odrętwiał, wpatrując się szeroko roztwartemi oczyma w groźnego nieprzyjaciela.

— O! widzisz... spi jeszcze...

— Cicho... na miłość Boską, nie ruszaj się, nie zbliżaj do niej...

— A ładny z ciebie chłopak, taki duży i gąsienicy się boi.

— Cicho Zosieńko; to wąż jadowity... to żmija.

— Rzuci się na nas? — szepnęła, cofając się krokiem Zosia.

(d. n.)

JAGODA.

III.

Danaż moja, dana, dana...
Jagódeczko pójdź do dzbana.
Jakoś idzie mi powoli,
A tu trzeba kupić soli.

Latoś było co niemiara;
Dziwiła się matka stara
Że jak tylko w gaik wpadnę
Wnet borówki niosę ładne.
A ja wcale się nie siłę,
Wszędzie pełno, gdzie się schylę.
Rumienią się wkoło przy mnie:
Weź-że i mnie, weź-że i mnie,
I ja świeża, i ja świeża, —
I już dzbanek po wybrzeża.
I mówiła mi jagódka:
Zjedz mię, zjedz mię, bo ja słodka.
A ja kładę do kozubka:
Tyś dla matki, moja lubka.
Ja dziewczyna nie łakoma,
Dadzą mi jak wrócę doma.
A dziś chodzę dzionek cały,
Czyby ptaki wydziobały?
Oj wy, ptaki nienasyte,
Widzę ja was, choć ukryte.
Dziwuje się, kręci główką,
Nie pocieszysz się borówką
Otóż widzisz, że nie twoja
Tylko boska, potem moja.
Danaż moja, dana, dana,
Jagódeczko pójdź do dzbana.

T. L.

KRÓLEWNA.

Opowiadanie Cioci Maryni.

(Dokończenie).

Podczas następnego tygodnia Helenka jeszcze usilniej pracowała nad sobą. W niedzielę bona, czesząc ją, kilka razy dość silnie pociągnęła grzebieniem, bo rozczesywanie splątanych włosów zajmowało dużo czasu a trzeba było śpieszyć się do kościoła. Helenka syknęła z bólu: już chciała wybuchnąć gniewem, ale przypomniawszy sobie uczynione postanowienie, łagodnie poprosiła bonę aby czesała ją uważniej. Wróciwszy z kościoła zajrzała do szafki. O cudo! Jasno-blond włosy lalki spadały w puklach na ramiona, wszystkie róże w wianuszkach rozkwitły, a w naszyjniku nie pozostało ani

jednego ciemnego kamyka. Welon był caluteńki a niebieska atlasowa suknia wyglądała jak nowa. Zapomniałam wam powiedzieć, że i Helenka teraz więcej oszczędzała sukienek, nie darła ich i nie plamiła.

— O moja droga Królowno! już zawsze taką pozostaniesz! — zawołała, tuląc lalkę do serca.

Pomimo tego przyrzeczenia nieraz jeszcze się zdarzało, to jakiś kamyczek zczerniał, to jedna różyczka znikła, to pukiel włosów się splątał, ale każda taka zmiana tak przestraszała Helenkę, iż nie mogła uspokoić się dopóty, dopóki postępowaniem swem nie zatarta tych śladów.

Lalka stawała się coraz ładniejszą, chociaż dotąd pozostały plamy na jej policzkach, nie mogła jeszcze otwierać oczu i nie odzyskała władzy w rękach ani w nogach. Z początku powstrzymywanie się od złego kosztowało Helenkę wiele pracy, ale widok lalki był jej najśodsą nagrodą za poniesione trudy. Teraz pragnęła nadewszystko usunąć szkaradne plamy szpecące twarz królowny. Nie było to rzeczą łatwą, bo Helenka do tego stopnia przyzwyczaiła się grymasić przy stole, że z początku nie miała siły przezwyciężyć się i wziąć do ust choć trochę niesmacznej zupy lub jarzyny. Zaczęła jednak kosztować codzien każdej nielubionej potrawy, stopniowo jadła coraz więcej, aż wreszcie przestało to sprawiać jej przykrość. Matka bardzo się ucieszyła, pochwaliła córeczkę, a plamy na twarzyczce lalki bladły coraz bardziej, aż wreszcie pewnego dnia znikły zupełnie i odtąd nigdy już nie wystąpiły. Ale dzieło poprawy nie było jeszcze skończonem, to też lalka nie była jeszcze tak piękną jak dawniej.

Pewnego dnia Helenka siedziała w altanie, dokąd się schroniła aby poczytać książeczkę z powiastkami, którą niedawno dostała od ojca. Usiadłszy do czytania, Helenka nie lubiła podnosić się i przerywać sobie. Teraz doszła właśnie do najbardziej zajmującego miejsca, ciekawość ją paliła aby dowiedzieć się końca powiastki, gdy koło altanki przeszedł ogrodnik niosąc kosz pełen włoskich orzechów. Widocznie kosz musiał być bardzo ciężki, bo nagle ucho się oderwało i wszystkie orzechy wysypały się po alei.

— Mój Boże! — westchnął stary ogrodnik — tak mnie dziś krzyże bolą a tu trzeba schylać się i zbierać orzechy.

Helenka nie namyślając się długo, położyła książkę na ławce i wybiegła z altanki.

— Nie schylajcie się, Tomaszu — rzekła — usiądźcie na ławce i odpocznijcie sobie, ja tymczasem wszystko pozbięram.

I prędziutko zabrała się do roboty, nie pozwoliwszy starcowi schylić się ani razu. Zrobiła to z dobrego serca, nie myśląc nawet o swojej lalce. To też tem więcej ucieszyła się wieczorem, zobaczywszy, że nóżki Królownej stały się znowu tak ruchome jak dawniej.

Jagusia oddawna już zapomniła o doznanej krzywdzie i przychodziła codzien bawić się z Helenką. Pewnego dnia siedziały obie razem w ogrodzie. Helenka trzymała lalkę na kolanach.

— Może masz ochotę się nią pobawić? — zapytała podając lalkę Jagusi.

Jagusia nieśmiało wyciągnęła ręce ale tak niezręcz-

nie ujęła Królownę, że upuściła ją w stojącą obok beczkę pełną wody deszczowej. Przeżrana krzyknęła, nie wiedząc co robić. Helenka zbladła jak płótno, podniosła rękę i zamierzyła się aby uderzyć Jagusię... ale wnet opanowała gniew i nie powiedziawszy słowa, schyliła się i wyciągnęła Królownę z wody. O dziwo! Suknia jej i welon nie były wcale zmoczone ani powalane a przyglądając się woskowym ramionom lalki, Helenka przekonała się, że znowu stały się ruchome. Uszczęśliwiona rzuciła się towarzysze na szyję i już do wieczora obie zgodnie bawiły się lalką.

Helenka dziwiła się bardzo, dlaczego Królowna dotąd ani razu nie otworzyła oczu. Oto dlatego, że pomimo dokonanej poprawy, dziewczynka w głębi serca uważała się przecież za coś lepszego od dzieci ubogich ubranych i myślała, że wyświadcza im łaskę bawiąc się z nimi. Matka jej była bardzo dobroczynną, i często, idąc do ubogich, zabierała ją z sobą. Helenka nie sprzeciwiała się woli matki, ale często czyniła to niechętnie i wszedłszy do ubogiej izdebki nie powiedziała mieszkańcom ani jednego słówka przyjaznego.

Pewnego dnia poszła z boną zanieść rosół choremu rzemieślnikowi. Wchodząc do mieszkania zobaczyła córkę chorego, która siedziała na progu płacząc rzewnie. W odpowiedzi na zapytanie Helenki powiedziała, że w nocy ojciec jej czuł się bardzo źle i że wezwany lekarz nie robił mu nadziei życia. Helenka starała się pocieszyć biedną dziewczynkę i ze łzami w oczach pomyślała, że i ona także czułaby się bardzo nieszczęśliwą, gdyby to jej ojciec tak ciężko chorował. Nazajutrz skończywszy lekcję, sama z własnej chęci poprosiła matkę o pozwolenie odwiedzenia chorego, poszła do niego z boną, a usłyszawszy, że czuje się trochę lepiej, okazała tak szczerą radość, że cała rodzina błogosławiła ją z wdzięcznością.

W parę dni potem idąc ze swemi przyjaciółkami na spacer, Helenka spotkała córkę chorego rzemieślnika. Nie zastanawiając się nad tem, że towarzyszki wyśmiewać się z niej będą, podeszła do ubogiej dziewczynki, pocałowała ją i zapytała o zdrowie ojca.

— Dlaczego zadajesz się z taką prostą dziewczyną? — zapytała jedna z towarzyszek.

— Dlatego, że ją lubię — skromnie odpowiedziała Helenka.

Nazajutrz rano, gdy wyjęła lalkę z szafy i wzięła ją na ręce, Królowna otworzyła wreszcie zamknięte przez tak długi czas powieki, a oczy jej wydały się Helence stokroć ładniejszymi niż dawniej.

Nic już królownie nie brakowało: głosu tylko dotąd nie odzyskała. Zdarzało się nawet, że czasami brzydła znowu, albo też przyrykała oczy. I nie mogło być inaczej, bo Helenka nieraz jeszcze zapominała się i popadała w dawne błędy. Ale wtedy spojrzawszy na lalkę, poprawiała się natychmiast. Raz nawet niechcący nacisnęła sprężynę i wnet rozległ się głosik lalki brzmiący tak radośnie, jak gdyby Królowna cieszyła się z poprawy swej przyjaciółki.

Tak upłynął rok cały i Helenka skończyła lat czternaście. Dziewczynki w tym wieku przestają już bawić się lalkami, to też i ona od czasu do czasu tylko wyjmowała z szafy Królownę, aby nacieszyć się jej widokiem,

gdy pewnej nocy zobaczyła znów we śnie wróżkę siedzącą przy swem łóżku.

— Dziękuję ci, Helenko, za to, że usłuchałaś mych przestróg — rzekła wróżka dźwięcznym głosem — Czary Farmali straciły już moc swoją i zła wróżka zaszkodzić ci więcej nie może. Odtąd nie będę ci potrzebna i dlatego przysłałam pożegnać cię na zawsze.

— O! nie opuszczaj mnie, dobra wróżko! — ze smutkiem zawołała Helenka — lękam się aby Farmala znów do mnie nie powróciła.

— Bądź spokojną — odparła wróżka — Kto raz z silnem postanowieniem poprawy wejdzie na drogę dobrego i przez czas pewien na niej wytrwa, temu Farmala zaszkodzić nie może. Nigdy już nie zbliży się ona do ciebie, ja zaś z góry czuwać nad tobą będę, a ile razy poczujesz zadowolenie w sercu, bądź pewną, że wtedy jestem przy tobie. Teraz bywaj zdrowa, Helenko.

Złożywszy pocałunek na czole Helenki, wróżka rozplynęła się jakby we mgle, a w pokoju rozległy się jakieś dźwięki niby przecudnej muzyki, Helenka otworzyła oczy. Dzień już zaświtał. Wskoczyła z łóżka i pobiegła do szafy: lalki już nie było! Helenka wiedziała dobrze, co się z nią stało. Rozłączenie z towarzyszką lat dziecięcych sprawiło jej wiele przykrości i w parę miesięcy potem narysowała z pamięci jej portrecik. Odtąd ile razy miała ochotę uleść złym pokusom, spoglądała tylko na podobiznę lalki i to powstrzymywało ją od złego.

Ciocia Marynia skończyła swoje opowiadanie, obie dziewczynki, które słuchały go z takim zajęciem, że zapomniały o deszczu, rzuciły się jej na szyję dziękując za przyjemność jaką im sprawiła. Różia przy tem rumieniąc się, szepnęła jej w same uszko:

— Ciociu, ja już nigdy kapryścić nie będę!

HOMONIM.

ułożyła Mandarynka.

Jeden tu wyraz dwa imiona łączy:
Więc pierwsze znajdziesz, gdzie woda się sączy
Powoli, albo całkiem cicho stoi,
Karp go i żaba pewno się nie boi.
Drugie, to zwierzę koniowi pokrewne
Choć nie tak piękne, lecz ma nogi pewne,
Po stromych skałach i nad przepaściami
Stąpa bezpiecznie z wielu ciężarami.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Paź królowej dla Jaśka Warszawiaka.

Z następujących sylab: no — e — rur — rek — o — men — vo — nie — ort — ri — ra — nu — ko — ułożyć 5 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, utworzą imię słynnego cesarza rzymskiego, a końcowe w tym samym kierunku imię mówcy rzymskiego. Znaczenie

wyrazów: 1. Poławiacz pereł. 2. Miasto w Portugalii. 3. Port na Renie. 4. Rzeka w Ameryce południowej. 6. Rzeka wpadająca do morza Bałtyckiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Szarady: Kra — wiec.

Łamigłówki sylabowej:

1. Sasanka. 2. Ajaccio. 3. Kalina. 4. Saragossa. 5. Odra. 6. Nosorożec. 7. Iwonicz. 8. Arabia. Saksonia.

Skrzynka do listów.

A: Podw: posyłamy powtórnie zaginione numera, uprzejmie prosząc wszystkich prenumeratorów, aby wcześniej zawiadamiali Redakcję o zmianie adresu; z powodu bowiem opóźnienia ginie dużo numerów, które potem powtórnie wysyłać trzeba.

Stella kochana nieuważnie musi czytywać Wieczory, skoro po tylokrotnych odpowiedziach Redakcji jeszcze zapytuje o korespondencję. Gołąbka lub Jaskółka zawsze chętnie odpowiedzą na liściki. Łamigłówkę przejrzyj wolnym czasem.

Żm: i Złotej Rybce dziękujemy za pamięć o koloniach letnich; prośbie postaramy się zadość uczynić.

Józi Jaw: posyłamy żądany dodatek; nie jesteśmy jednak pewni, czy to ten, bo powieść ma inny tytuł.

Sz: p. Wach: odebraliśmy przedpłatę kwartalną na Wieczory dla Karolka, Czesławka i Stefanka. Bardzo się to chwali, że tak niewielcy chłopczkowie wolą obrócić swoje oszczędności na rozrywkę umysłową, niż na łakocie lub zabawki. Mamy nadzieję, że z czytania potrafią wyciągnąć dla siebie korzyść moralną, która im dopomoże do otrząśnięcia się z drobnych wad, właściwych ich wiekowi, i że pod światłym kierunkiem wyrosną na znacznych i użytecznych ludzi. Pozdrawiamy ich życzliwie, małemu „śpiwakowi” zasyłając uścisk serdeczny.

Kochana **Kingo**, „Tajemniczy zamek” wszystkich tak jak ciebie zaciekawia, nawet mnie, najstarszą ze staruszek. Do dziś dnia nie zapominałam zajęcia, z jakim czytałam inne powieści tego samego autora, w którego ślady tak szczęśliwie wstępuje autor „Zwycięzców Oceanu” i „Balonem do bieguna” Sprawozdanie z konkursu ogłoszonym będzie w parę tygodni po ostatnim terminie nadsyłania robót i wypracowań. Obie z Jaskółką jesteśmy na wsi pod Warszawą, gdzie jednak bywamy o tyle często, że możemy zadość czynić żądaniom waszym, siostrzyczki.

Nuty twoje, **Prawdo**, stara i kochana znajoma, kosztują kop: 75. przesyłka kop: 12. z tej samej opery jest świeżo ułożony walczyk p: t. „Dziecko szczęścia”. Za bratki ślicznie ci dziękuję, za dodatek na kolonie letnie jeszcze pięknie. W miarę, jak się Warszawa wyludnia coraz trudniej zdobyć grosz jaki dla biednych dzieciaków, których spora jeszcze gromadka łaknie świeżego powietrza. Wysłanie ich zależy jedynie od miłosierdzia dobrych ludzi, a jak go niecierpliwie oczekują, to wie ten tylko, kto sam jest w murach miejskich zanknięty. Raz więc jeszcze podziękowania ci powtarza kochająca was zawsze.

Gołąbka.